

Sierpiński Jacek

Jestem Księciem Mahagun

„Nowa Fantastyka” - kwiecień 1991

Kędy zachodzące słońce śpiewa pieśń czerwonych mgieł na tamtym krańcu miasta, wzbiera we mnie potrzeba. Wbrew niektórym, a zwłaszcza księdzu Kunze, nie uważam tej potrzeby za brudną, gdyż jej zaspokojenie sprawia mi przyjemność o wiele większa, niż. mogą wyobrazić to sobie ich proste mózgi. Dzięki niej przeżywani chwile słodsze, niż kiedykolwiek indziej - gdzie więc mogę uznać ją za niemoralną?

Daję znak. Dwaj moi wierni lokaje, dwa moje psy o imionach rzymskich cesarzy - Karakalla i Geta - stają u mego boku. Karakalla wymuskany, pachnący, w wykwintnym meloniku, nie rozstający się ze swą cichą zabawką - małym jak zapalniczka urządzeniem, z którego czubka wytryska czasami zielony, śmiercionośny promień. Cięta wygląda na zbira, i to o wysokim stopniu zbirowatości. Jest nim zresztą, dziesięć lat spędził pijąc szczyrzą wodę w lochach Rosario. Doskonale włada nożem, a także malajskim krisem o falistym ostrzu; jego potrzebą jest dżganie, dzięki niemu potrafi przeżywać swoistą rozkosz i choć jest ona tylko nieskończenie małym odbiciem tego, czego ja doznaję, szanuję jego prawo do niej. On wie, że dziś znowu będzie mógł sobie pofolgować i z jego brudnej, nieogolonej twarzy promieniuje zadowolenie. Karakalla dla odmiany jest ponury, zawsze jest ponury, milcząc schodzi do garażu. Wyprowadza mego forda-tajfuną. Wsiadam. Geta siada obok, przytulony do swych ostrzy. Ruszamy.

Zmrok już zapadł. Ford-tajfun przecina miasto jak czarny pocisk, napotkane samochody z szacunkiem zjeżdżają z drogi. Wkrótce eleganckie wieżowce ustępują miejsca odrapanym, rozsypującym się kamienicom z cegły czerwonej jak krew. To znak, że opuszczamy centrum i wjeżdżamy w Mahagun; po chwili pojawiają się pozarastane pajęczynami, na wpół rozwalone chałupy, po spękanych chodnikach zaczynają pomykać nieprzyjemne cienie, kuląc się i przypadając do muru pod światłem naszych reflektorów. Do wnętrza samochodu zaczyna docierać smród. Tego smrodu nie da się zlikwidować, on dopływa zewsząd, ta dzielnica nim żyje; tysiące ludzi złych profesji, dziadów, zbirów, woli, obszarpańców na trwałe wniosły go w jej istotę. Tu nikt nie sprząta; bywa, że śmieci, wydaliny i wymiociny gromadząc się blokują jakąś ulicę. Wtedy mieszkańcy powoli ją opuszczają, ich miejsce zajmują hordy dziadów, które wybierają resztki tego, co jeszcze zdadne jest do użycia i odchodzą. Ulica przeradza się w śmietnik, promieniuje gniciem, dołączając swoją cegiełkę do ogólnego fetoru Mahagun; czasami staje się miejscem wyrzucania śmieci dla mieszkańców innych ulic, wtedy ten śmietnik tętni życiem, coraz to nowe bandy dziadów ogałają go, jak sępy, ze spleśniałych kromek chleba i niedopitych piw, grzebiąc w jego wnętrzościach długimi prętami. Tam wule piją tanie wino, piją je litrami, sikając i wymiotując. Tam zaciąga się padłe ofiary ostrych noży i szybkołotnych kuł, narkomanów, co ostatni raz dali sobie w kanał, biedaków, których rodzin nie stać było na trumnę. Powoli zmieniając swą konsystencję, zasilają śmietnik w nowe elementy.

Dwie trzecie Mahagun to śmietniki.

Karakalla włącza klimatyzację. Niewiele to pomaga, ale ja jestem przyzwyczajony. Od czasu, gdy skończyłem dziesięć lat, bywam tu prawie co miesiąc, a bywały okresy, że i częściej. Najpierw zawoził mnie ojciec. Tak samo pędziliśmy fordem-tajfunem, zagłębialiśmy się w smród, chłonałem atmosferę Mahagun. Ojciec chciał, by było mi dane wszystko to, co jemu, jego ojcu, dziadkowi, pradziadkowi i każdemu z moich przodków, hrabiów von Landau na przestrzeni wieków.

- Pamiętaj - mówił - szlachetne rody, takie jak nasz, nie mogą zadowalać się rozkoszami ubogich. Jesteśmy w stanie sięgać po więcej, przeżywać gwałtowniej. W Mahagun jest to możliwe; nasi przodkowie odkryli to już setki lat temu. Dzisiaj wyczerpała się już większość dawnych ośrodków, w których można było osiągać owe przyjemności, nigdzie indziej nieosiągalne. Lecz Mahagun istnieje nadal, jest takie jak dawniej. Ta cała armia typów spod ciemnej gwiazdy, zbirów, dziadów istnieje po to, byśmy mogli wykorzystywać ją do swoich celów. Oni tam ciągną, instynktownie ciągnę. Lecz nie oni są w stanie osiągnąć cel, lecz my. Zapamiętaj to sobie, Karl. Jesteśmy do tego stworzeni.

Tak mówił mój ojciec, a ja mu wierzyłem. Powoli Mahagun wciągało mnie. Podczas gdy moi rówieśnicy zaczęli zagłębiać się w jedyną dającą im rozkosze studnię seksu i pornografii, ja poznawałem kolejne zaspokojenia, powoli dojrzywałem w szokująco - dla nich, gdyby się dowiedzieli - odmienny sposób. Mając czternaście lat, wśród nieopisanego fetoru, osiągnąłem wreszcie najwyższą potrzebę i rozładowałem ją.

Wtedy to właśnie przestałem zwracać uwagę na zapach panujący w Mahagun; stał się nieodłączną częścią tej łamigłówki, którą była moja potrzeba i moje przemienione ciało. Podczas tego pierwszego razu był z nami syn naszej pokojówki, o rok starszy, towarzysz moich dziecięcych zabaw. Mój ojciec zabrał go wtedy, kusząc słodką wizją nagrody za wierną służbę w postaci darmowych ud najpiękniejszej z dziwek Mahagun. Przewidując sądził, że nie będę potrafił opanować swego pierwszego razu; miał rację. Tamten chłopiec stał się jednym z elementów tego pierwszego zaspokajania, jego początkowym etapem. Wiedziony niemądrą litością uprosiłem wówczas ojca, by go nie zabijał; porzuciliśmy go pod jednym z obsypujących się murów. Co się stało z nim później, nie mam pojęcia, zapewne umarł z głodu lub zakłuty dla zabawy przez jakiegoś zbira lub pijaną dziwkę-sadystkę. Przyjemność, której doznałem podczas tego pierwszego razu, wydaje mi się większa niż jakakolwiek późniejsza - to niemożliwe, a jednak tak jest. Nigdy nie osiągnąłem już w sobie tego wulkanu, co wtedy. A mimo to rozkosze, które osiągałem, były nieskończone. Von Trautenbach, mój szlachetnie urodzony przyjaciel-matematyk, próbował wytłumaczyć mi to na przykładzie liczb ponad skończonych. Alef zero i alef. Nie rozumiałem jego wywodów. Ale nie przeszkadza mi to.

To Właśnie wtedy, po przeżyciu owej pierwszej doskonałości, zerwałem z kościołem; nie był mi już potrzebny. Obraz pośmiertnego szczęścia, jaki proponował, wydał mi się mdły i bezbarwny. Nie mógł już mnie pociągać. Ksiądz Wolfarth, a potem ksiądz Kunze wielokrotnie, pamiętam, przychodzili do naszego domu nawracać najpierw dziadka, potem ojca, a wreszcie mnie. Pochodzili z ludu; nie byli w stanie zrozumieć. W końcu zaprzestali swoich wysiłków. A ja rozpalałem się coraz gwałtowniej, przechodziłem okres dojrzewania, co prawda zupełnie innego niż u moich rówieśników, niemniej potrzeba była codziennością i prawie codziennie jeździłem też do Mahagun.

Stopniowo nauczyłem się kontrolować moją potrzebę i opanowałem algorytm jej zaspokajania. Zrzuciłem z siebie resztki dobrej dla gminu, fałszywej moralności. W Mahagun przyszło mi to z łatwością, nie było tam Innych, z których pragnieniami musiałbym się liczyć. Spotykałem tam tylko hordę wyzutych nawet z tego skrawka człowieczeństwa, jakim dysponują prostytutki. Z nimi można było robić wszystko, co się chciało, były to zabawki stojące w gruncie rzeczy bliżej ameby niż mnie. Lecz w zaspokajaniu mojej potrzeby okazały się niezastąpione.

Mijamy góry śmieci. Przez moment wydaje mi się, że oto również i główna ulica została przemieniona w śmietnik; ford-tajfun z trudem przepycha się wśród nieczystości. Lecz nie: po chwili śmietnik znika i z powrotem wyłaniają się domy. Z bram sączą się strużki niezidentyfikowanych śmierdzących cieczy, tu nie ma szamb ani, rzecz jasna, kanalizacji, wjeżdżamy w podejrzaną kałużę i samochodem niebezpiecznie zarzuca. Karakalla wściekle manewruje kierownicą i pedałami, wychodzimy z poślizgu. Pod murem niewyraźna sylwetka: to jakiś wul załatwia swoje mniejsze sprawy wydalnicze, pociągając jednocześnie z butelki. Przyjmuje i oddaje jednocześnie. Obserwuję go. Czuję, że nie mogę się już dłużej wstrzymać. Trudno. Będzie musiał iść na początek.

Wskazuję. Karakalla z piskiem opon hamuje tuż przy obszarpańcu. Geta ma przygotowaną szmatkę z obezwładniającą miksturą, błyskawicznie otwiera drzwiczki, wyskakuje.

Wciążamy obdartusa do samochodu. Karakalla zatyka nos. Powoli, ruchem grzechotnika, zbliżam się do wuła. Tu dygresja. To, co robię, nie jest seksem ani żadnym innym sposobem zaspokajania tego typu prymitywnych instynktów. Obłaskawiając swoją potrzebę korzystam z zupełnie innych narządów; ich zarodki znajdują się w każdym człowieku, lecz tylko szlachetnie urodzeni potrafią je wykształcić. Trzeba jednak do tego doprowadzić poprzez specyficzne ćwiczenia. Tylko Mahagun - nie wiem, czy zostało jeszcze inne podobne miejsce na Ziemi - daje ku temu odpowiednie warunki. Tylko tu tajemnicze wiry i fluidy, wnikać w ciała dziadów i dziwek, wuli i narkomanów, zbirów i włóczęgów, wydobywają z ludzi naszej rasy to, co przed wiekami Bóg ukrył głęboko, nie chcąc, by stworzone przezeń istoty przeżywały rozkosze równe jemu. Tak niegdyś mówiła moja babcia. Wydobyłem swoje narządy ze swego ciała (lub ze swej duszy, nie wiem), mając czternaście lat i używam ich od tej pory do zapewnienia sobie szczęścia przy każdym pobycie w Mahagun. Gdzie indziej nie działają; nawet ich nie widać. Lecz tutaj zaprawdę czynią mnie równym Bogu, jeśli istnieje.

Moje psy patrzą w milczeniu. Daje im to pewną przyjemność, to niewątpliwe. Karakalla bezwiednie przesuwa rękami w miejscu, gdzie - gdyby miał - znajdowałyby się jego narządy szczęścia. Geta pociera płazem krisa swój zbirowski zarost. Sapie. Odrywam się od obdartusa. Jest narzędziem jednorazowym: to, co mi daje zadowolenie, jemu przyniosło obłęd. Gdy obudzi się, pobiegnie jak opętany i roztrzaska głowę o mur albo wpadnie do rzeki. Oszczędzę mu tego. Karakalla wie; wycelowywuje swoje urządzenie. Zielona świetlna igielka trafia w brudne ucho wuła, który spazmatycznie, po raz ostatni wciąga powietrze i przestaje

oddychać. Geta nie może się powstrzymać, wbija kris w martwe już ciało i przez chwilę wierci. Potem wyrzuca trupa z samochodu. Karakalla odwraca się do kierownicy. Jedziemy. Pędzimy dalej.

Ford-tajfun gna po ulicach Mahagun jak prawdziwy tajfun. Slumsy migają po bokach, o szyby obijają się śmieci. Jeszcze czuję smak tego pierwszego wejścia. Powoli regeneruję swe narządy szczęścia. Obdartus chwilowo tylko udobruchał moją potrzebę, w rzeczywistości wzmocnił ją dopiero do odpowiedniego poziomu i uaktywnił kolejny fragment moich narządów; pora na drugi seans. Zatrzymujemy się przed oświetlonym - to w Mahagun rzadkość - domem. Na drugim piętrze okna jarzą się purpurową poświatą. Idziemy. Najpierw Geta, ze swoją ponurą fizjonomią i ostrymi przyjaciółmi drzemiącymi w kieszeni. Potem ja. Karakalla wlecze się z tyłu, jak zwykle nic go nie cieszy. Klatka schodowa śmierdzi odwiecznymi sikami, gdzieś tam leżą również kupy, świeże - brązowe i zastarzałe - czarne. Po kątach pełno śmieci. Normalka. Wchodzimy na drugie piętro, spróchniałe schody trzeszczą jak piasek w zębach. Geta puka trzy razy.

Otwiera nam gruby człowieczek, łysy i czerwony. To właściciel tego salonu rozpusty, Herr Figge. Poznaje nas. Krzywi się.

- Znowu, hrabio? - mówi jęczącym głosem. - Ja nie nadążę uzupełniać braków. Ja mam przez pana straty. Czy nie mógłby pan hrabia...

- Nie - przerywam. Karakalla wygrzebuje z kieszeni monetę. Złotą. To prawdziwy, średniowieczny dukat, jeden z wielu złotych krążków odziedziczony po moich szlacheckich przodkach. Jest wart kilku takich salonów, jak ten. Wręczam go Herr Figgemu. Ten pośpiesznie kłania się, coś mamrocze i pokazuje, abyśmy szli za nim. Idziemy nieprawdopodobnie długim, czerwonym korytarzem, zza mijanych drzwi dobiegają nas posapywania, wrzaski i pochrząkiwania. Moim psom też się coś tu należy. Karakalla znika za jednymi z tych drzwi, Geta za następnymi. Mnie Herr Figge prowadzi dalej. Wie, że domagam się zawsze towaru najwyższego gatunku, nie ma to znaczenia dla tego, co będę robił, ale taki jest mój kaprys. Dochodzimy do końca korytarza. Herr Figge złotym kluczykiem otwiera najpiękniejsze ze wszystkich drzwi. Wchodzę.

Drugi etap potrzeby jest gwałtowniejszy niż pierwszy. Teraz moje ruchy są ruchami boa dusiciela, dostojniejszymi i wolniejszymi, lecz promieniuje z nich większa moc. Zapomniałem wziąć od Gety obezwładniającą szmatkę, dziwka jest w pełni świadoma, może to i dobrze... Widzę, jak powoli bierze ją we władanie szaleństwo. Nie chce do tego dopuścić, wyrwa się, krzyczy. Zatykam jej usta. Wiem, jak teraz odbiera moją rękę; to, co z nią teraz robię, zmienia jej widzenie rzeczywistości. Czuje zimną, gadzią mackę. Za ścianą rozlega się przeciągłe, długie wycie. To Geta doszedł już do swego szczytu, nieskończenie małego, lecz będącego jakże kuszącym celem dla ludzików jego pokroju. To zaledwie piramida Cheopsa. Mój szczyt to Mount Everest; moje narządy są przerażająco doskonalsze, ich budowa jest niepojęta dla człowieka niskiego stanu. Von Trautenbach określił je jako najbardziej skomplikowaną figurę możliwą do pomyślenia przez umysł dążący do doskonałości. Von Trautenbach też bywa w Mahagun. Rzadziej; jest ode mnie o dwadzieścia lat starszy. Poza nami istnieje jeszcze pięćdziesiąt szlacheckich, o których wiem. Jesteśmy elitą.

Już! Dzwonki opada bezwładnie, piana spływa z jej obłąkanych ust. Moja duchowa istota rozrywa mnie od wewnątrz, wierzchołek Mount Everestu odłamuje się i spada w czarną przepaść mojej potrzeby. Przez chwilę wszystko sprawia mi przyjemność. Potem się uspokajam. Tak kończy się drugi etap.

Wychodzę. Herr Figge już czeka z muskularnym zbirem-osiłkiem. Za chwilę tamten połamię biednej, obłąkanej dziwki kości i skręci jej kark, a potem zakopią je gdzieś pod hałdę śmieci. Wołam moje psy, przybiegają. Geta zadowolony, troskliwie wyciera swój nóż. Karakalla jak zwykle. Nie zdążył. Trudno.

Pędzimy dalej.

Była już teza i antyteza, teraz czas na syntezę. Korzenna część moich narządów szczęścia uaktywniła się i prze do ostatecznego zaspokojenia. Z tym będzie największy kłopot. Natura jest skąpa i niezyczliwa naszej elicie; nie wykształciła czegoś będącego połączeniem kobiety i mężczyzny, nie miała potrzeby tego robić. Muszę poradzić sobie inaczej. Ojciec mnie tego nauczył. Tak robili wszyscy moi przodkowie i do czasu, aż w Instytutach Genetyki nie wyprodukują idealnego hermafrodyty, ród Landau będzie tak robić. Teraz szukamy. Moja potrzeba narasta. Przed trzecim etapem jest zawsze najsilniejsza. Karakalla zwalnia. Wypatrujemy. Dostrzegamy kilku dziadów, jak zwykle grzebią w śmieciach długimi dziadowskimi prętami. Smród jakby nieco się wzmógł. To chyba od ich łachów. Jeden z dziadów chyba jest kobietą, ma widoczne piersi, w gruncie rzeczy jest to nie dziad, a baba śmietnikowa. Któryś z dziadów mężczyzn podchodzi do niej. Coś mówi. Dziad-kobieta kładzie się za szczególnie odrażającą górą śmieci, tracimy ją z oczu. Dziad-mężczyzna również tam wchodzi.

To może być to, czego szukamy. Stajemy za rogiem. Wychodzimy z samochodu. Po cichu zbliżamy się od tyłu. Stąpamy jak koty podkradające się do zdobyczy. Tak. Mieliliśmy rację. Kryjemy się za murem,

obserwując pionowe i poziome ruchy obojga dziadów; Karakalla patrzy na zegarek. Oblicza czas. Potrzeba skreca mi kiszki. Prawdę mówiąc jest to ból, potworny ból, jakby ktoś wlewał mi w umysł roztopione złoto. Człowiek niskiego urodzenia nie zniósłby tego. Ale za to rozładowanie...

Moje narządy szczęścia drgają niecierpliwie, falują i skręcają się jak czterowymiarowe węże-anakondy. Ruchy dziadów stają się coraz szybsze, obserwuję je, usiłując sobie przypomnieć wzór figury, w którą się układają. Jest to chyba wzór 65B według klasyfikacji von Trautenbacha, nie mam pewności, Karakalla powinien lepiej wiedzieć. Patrzę na mojego wykwiłtniejszego psa, w napięciu śledzi sekundnik. Już pewnie podstawiał do wzoru. Między figurą tworzoną przez poruszające się ciała a czasem pierwszego wyładowania zachodzi zależność, to bardzo ważne, muszę natrafić na ten moment, by oszukać Naturę. Karakalla odlicza na głos ostatnie sekundy.

Zero. Wyskakuję jak rakieta bliskiego zasięgu i w mgnieniu oka dopadam kołującą się parę. Kilka pozostałych dziadów dostrzega mnie. Wrzeszczą. Za późno. W momencie, gdy dziad-kobieta osiąga przesilenie, moje anakondy biorą ich oboje w swe sploty. Widzę ich śmiertelne przerażenie, jak niepojęte dla nich tkanki zatapiają się w ich ciałach; to nieodłączny element mojej satysfakcji, razem z odorem śmieci i mrokiem mahaguńskiej nocy stanowi zapalnik dla tego wewnętrznego dynamitu. Wybuch jest piękny.

Unoszę się na falach doskonałej przyjemności, która zastąpiła ból. Jestem szczęśliwy. Jestem Bogiem. Więcej niż Bogiem. Jestem Księciem Mahagun.

Powoli wracam do stanu równowagi. Dobrze, że z tego się wychodzi; inaczej nie przeżyłbym. Nikt bowiem nie może ciągle przeżywać, doskonałego szczęścia. Nie odczuwam już jednak potrzeby, została zaspokojona. Dziady leżą bezwładnie i charczą. Daję znak Gecie, podchodzi z krisem i nożem jednocześnie, niech i on ma swoją chwilę przyjemności. Słaby odbłask tego, co przeżywam, jest dla niego prawdziwym słońcem. Przystępuje do dzieła. Odchodzę na bok. Karakalla przyglądał mi się, jest jeszcze bardziej ponury i wściekły, Karakalla-bękart. Dziecko szlachezca i mieszczki. Krew matki nie pozwala mu osiągnąć tego, co ja. Ale też przyjemności motłochu są dla niego za małe. Nigdy nie dostąpi zaspokojenia; jest najniezszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Taki już jego parszywy los.

Podchodzi Geta, uszczęśliwiony. Dopiął swego. Karakalla rzuca mu mordercze spojrzenie; gdyby jego oczy mogły wysyłać tę zieloną igielkę, mój pies-zbir byłby już nieżywy. Ładujemy się do forda-tajfunu. Wracamy.

Brudy bębnią po szybach, dmie wiatr. Mahagun żegna nas jak zwykle, smrodem i śmieciem. Stopniowo znikają ceglane kamienice, ustępują miejsca szklanym i plastikowym tworom końca cywilizacji, nawierzchnia drogi wygładza się, powoli opuszczamy teren prawdziwego życia. Moje narządy szczęścia błędą i wtapiają się w ciało, a może w duszę. Teraz nie różnię się już niczym od Karakalli czy Gety, od księdza Kunze, chłopca czy mahaguńskiego elementa. Wracam do domu.

Odsyłam Getę i Karakallę. Znikają jak nocne koszmary. Na palcach prześlizguję się przez pokoje. Wchodzę do sypialni. Żona i córka śpią; oddychają równym, miarowym rytmem.

Patrzę na Irmę z czułością. Moje jedyne dziecko. Jutro są jej urodziny, kończy dziesięć lat. Ofiaruję jej najcudowniejszy prezent, jaki mogę jej dać: zawiozę ją do Mahagun. Będzie to jej pierwsza wizyta w tym miejscu. Odtąd będę zapoznawać ją z tajnikami szczęścia, tak jak mój ojciec zapoznawał mnie. Pozna prawdziwą przyjemność, zanurzy się w atmosferze Mahagun, jak ja się zanurzyłem, wydobędzie z siebie narządy szczęścia piękniejsze i wspanialsze od wszystkich, jakie dotąd istniały. Synowie Karakalli i Gety będą jej służyć jak wierne szczenięta. Kiedyś, w przyszłości, zostanie Królową Mahagun.

Kładę się do łóżka. Wschodzące słońce śpiewa pieśń różowych mgieł na naszym krańcu miasta.

Jacek Sierpiński